530
2198

A POWSZECHNA.

Józef Korzeniowski.

MNICH.

Tragedya w 3. aktach.

WARSZAWA
Teodor Paprocki i Sp.
LWÓW
Seyfarth i Czajkowski.
POZNAŃ
A. Cybulski.

Nakładem i drukiem księgarni
Wilhelma Zukerkandla w Złoczowie.

147
530
I-ia Klas. Żeńsk. Gimnazj. Państw. * MARJI GAJL * w Badomiu
196

147

7 KLASOWY
zakład naukowy żeński
Marji Geijl
W RADOMIU

2198

Naukowa Biblioteka Pedagogiczna
003031
I - 209

bwh
Zakład naukowy żeński
Marji Sch
196
540

JÓZEF KORZENIOWSKI.

MNICH.

Tragedya w trzech aktach.

Streng büsst' ich's ab mit allen Kirchenstrafen,
Doch in der Seele will der Wurm nicht schlafen...

Schiller.

G. kom. 2198
14

[1894]

Złoczów.
Nakładem i drukiem Wilhelma Zukerkandla.

Józef Korzeniowski, który słynie w literaturze jako autor znakomitych powieści i dramatów, urodził się w mieście Brodach w Galicyi 19. marca 1797 r. Do szkół chodził w Zbarażu, w Czerniowcach, w Krzemieńcu. Przeniósłszy się do Warszawy 1818 r., powołany został 1823 r. na profesora do Krzemieńca. Później był profesorem uniwersytetu kijowskiego, a potem dyrektorem gimnazyum w Charkowie. Powrócił do Warszawy 1846 r., gdzie został mianowany wizytatorem szkół, później dyrektorem Wydziału oświecenia.

Korzeniowski wybrawszy się dla poratowania nadwątlonego zdrowia do wód zagranicznych, umarł w Dreźnie 17. września 1863 r.

Redakcya „Bibl. powsz.“

AN 0003037
I 229
Biblioteka Uczniowska Szkoły Powszechnej w Kielcach
228746

OSOBY:

Mnich, przebywający w klasztorze Osyaku.
Przeor tegoż klasztoru.
Szreniawita, rycerz polski.
Ksiądz, przysłany od biskupa.
Adalbert, młody zakonnik.
Wacław, zakonnik.
Stary zakonnik.
Trzech innych zakonników.
Duch.

Scena w Karyntyi.

Akt pierwszy.

SCENA I.

Miejsce przed wnijściem do klasztoru, przy którym wielkie drzewa i kilka mogił przyłożonych kamieniami.

Adalbert siedzi na jednej mogile. **Wacław** wychodzi śpiesznie z klasztoru, nie spostrzegając Adalberta.

Adalb. Ojcze Wacławie! dokądże tak spieszysz?
Wacł. Dawnoż tu siedzisz, bracie Adalbercie?
Adalb. Już od godziny patrzę na te góry.
Wacł. Samotność zgubna stęsknionemu sercu.
Adalb. Ta ciężka suknia na nią mię skazuje.
Wacł. Przecież ta suknia leksza niźli zbroja.
O! nie znasz stanu, do którego tęsknisz!
Lepsze tu życie. Nie ma tu uciechy,
Lecz nie ma smutku. Tu nie zerwiesz kwiatu,
Ale i cierniem ręki nie skaleczysz.
Uwierz młodzieńcze, co ci mówi stary,
I stań się mądrym cudzem doświadczeniem.
Adalb. Proszę cię, przestań, jużeś mnie prze-
Wacł. Nieszczerze mówisz. [konał.
Adalb. Pewnie coś lepszego
Masz do zrobienia. Życie nasze krótkie,

Śmierć zawsze prędsza niźli pilność ludzka;
Nie trać więc czasu.

Wacł. W poręś mi przypomniał.
W którąż się stronę udał ów przychodzeń?

Adalb. (niedbale) Tą ścieżką poszedł.

Wacł. Pewnie ku tej skale,
Skąd czasem mierzy, jak głęboka przepaść.
Dziwny to człowiek! Próżno trudzę głowę,
Bym doszedł: skąd jest? czemu tu przebywa?
To tylko jawnie widzę, że daremnie
Światowe żądze ubrał w mniszy kaptur;
Nie ma na jego czole poświęcenia,
Ni w jego sercu ciszy zakonnika.

Adalb. Serce człowieka jest to ciemna głębia;
Zbyt trudno dojrzeć co jej dno ukrywa.

Wacł. Roztropnie mówisz, lubię ja twój rozum,
Ale tem bardziej smutek twój naganiam,

Adalb. Zostaw mi smutek, ma on swe powaby!
Większej nagany warta twa ciekawość.

Wacł. Ciekawość? jak to?

Adalb. (powstając) Chodzisz za człowiekiem,
Który unika ludzi; śledzisz wszędzie
Nieszczęśliwego, dla którego może
Samotna chwila jest największem dobrem.
Widziałem nawet, że go podsłuchujesz,
Gdy mówi z sobą, kiedy w zapomnieniu
Głuchym urwiskom troski swe powierza.
Bracie Wacławie, to niedobrze. Pókiś
Broń w ręku nosił, i na czatach stawał,

Póty ci wolno było słuch zaostrzać
Na słowa drugich; pótyś był powinien
Śledzić twym wzrokiem chytrość nieprzyjaciół.
Dziś, w tem odzieniu, patrz na siebie tylko,
I słuchaj mowy serca, czy nie grzeszna.

Wacł. Gdyby ciekawość wiodła mię, nie przeczę,
Przestrogi twojej nie mógłbym odrzucać.
Ale się mylisz. Śledzę go, to prawda,
Lecz sama litość za nim iść mi każe.
Nieraz krok śmiały niesie go w te miejsca,
Do których żaden zwierz nie dostępuje.
Widzę go często na urwiskach, gdzieby
Orzeł się gnieździć nie śmiał. Idę za nim,
Bym go ostrzegał o niebezpieczeństwie.
Sługa Chrystusa, tego tylko żądam,
By się czyn dobry spełnił, nie zważając,
Jakie mu źródło kto naznacza, jak mi
Dobra chęć moja odpłacona będzie.
Nie zważam nawet, czyli wart przysługi,
Komu ją chętnie, w szczerej myśli świadczę.

Adalb. Czemużby nie był godzien?

Wacł. Jabym sądził,
Że on wart raczej kary niż litości.

Adalb. Czyliż nie widzisz, jak jest nieszczęśli-
[wym?

Wacł. Zbyt jeszcześ młody i nie umiesz patrzeć.

Adalb. Wielkie nieszczęścia biły w głowę jego;
Ślad ich widoczny.

Wacł. Powiedz raczej, bracie:

Wielkie występki ciążą w jego duszy,
A sąd twój pewnie sprawiedliwszy będzie.
Już miesiąc prawie u nas przesiaduje,
Jeszcze w świątyni nie był; dotąd jeszcze
Nie zgiął kolana przed ołtarzem Pańskim.
Cóż go wstrzymuje, jeśli nie sumienie?
Jeżeli nie ta bojaźń złego sługi,
Który obraził ciężko swego pana?
Nie ma tak ostrej skały, tak dzikiego
Miejsca wśród lasów i przepaści naszych,
W któremby nie był. Jeśli kiedy siądzie
W ciemnym zakącie, i oparłszy głowę
Na dłoni swojej, w myślach się zatopi,
Chwila to krótka. Zrywa się, ucieka,
Jakby duch jaki chwytał go za piersi.
Cóż go tak pędzi, jeśli nie sumienie?
Znam ja się na tem. Nieszczęśliwy lubi
Sercu bliźniego troski swe powierzać, —
Zmienność fortuny wstydu nie przynosi, —
Szuka więc ludzi, kto litości żąda —
Lecz kto im nie śmie piersi swych otworzyć,
Znak to niedobry; czuje, że mu trzeba
Bać się ich sądu. Ale zapomniałem,
Po com tu przyszedł. Słońce się zapuszcza,
Mogę go dzisiaj wcale już nie znaleść.
Bądź mi zdrów, bracie!

Adalb. Miej szczęśliwą drogę.

Wacł. (wracając) Lecz jeszcze słowo! Za prze-
[strogę, którą

Mi dałeś, przyjmijże wzajemnie moję:
Masz rozum, ale nie sądź zbyt porywczo,
I pókiś młody, nie ucz nigdy starszych. (odchodzi)

Adalb. Znam ja cię dobrze! W to ustronie święte
Nie samę szczerość przyniosłeś ze świata.

SCENA II.

Przeor wychodzi zwolna z klasztoru **Adalbert** zbliża się do niego z uszanowaniem.

Przeor. Zawsze twe czoło smutne, Adalbercie!

Adalb. Wieczór przynosi smutek i dumanie.

Przeor. I jam też wyszedł, bym mu się przypa-
I wierz mi, nigdy on mię nie zasmuca. [trzył.
Jak złoty ranek, tak rumiany wieczór
Radość mi daje, wlewa podziwienie.
Jużem go stokroć widział na tych górach,
Dziękując Bogu, że mi w tej zaciszy
I żyć pozwolił, i swą chwałę głosić.

Adalb. Ojcze! Podzielam podziwienie twoje,
Lecz nie dziękuję Bogu, że tu jestem.

Przeor. Znam ja, mój synu, twoje chęci. Młoda
Myśl twoja rada z naszych gór zstępuje.
Ciekawość ciągnie cię w ród ludzi; chciałbyś
Poznać ich trudy, szczęście ich i chwałę.

Adalb. Czytasz w mem sercu.

Przeor. Potłum te żądania,
Zamroź ten potok, póki w kroplach spada,
Musisz szanować w twego ojca woli

Wolę twojego Boga; i ulegać
Skromnie i cicho prawom twego stanu,
Który ci kiedyś, jak mnie, miłym będzie.

Adalb. Nie będzie nigdy. Daruj mej szczerości!
Żal mię uciska, gdy nad sobą myślę!
Czemże tu jestem? Mogęż się tu poznać,
Lub się dowiedzieć, czylim zły, czy dobry?
Czym wart szacunku swego, czy pogardy?
Wprawdzie do złego mi zamknięto drogę;
Lecz jak złość, równie cnota potrzebuje
Życia i ludzi, by się wydać mogła.
W odosobnionem sercu gasną obie,
Jak ów ściśnięty ogień, do którego
Powietrze nieba przedrzeć się nie może.
Puść mię stąd, ojcze! Niechaj się doświadczę!
Bóg mi dał siły, które marnie pójdą,
Jak plenne ziarna, jeśli tu zostanę.
Ciebie przeznaczył, abyś, jak ów prorok,
Klęcząc na górze, ręce miał ku niebu;
Mnie zaś inaczej praw swych bronić kazał.

Przeor. Pojmuję myśl twą. Ale wierz mi! lata
Ujmą ci ognia i pokażą prawdę.
Chwała i laury piękne są w nadziei,
Lecz otrzymane nie ogrzeją serca,
Jak obraz słońca w lodach tych odbity.
Z słów twych postrzegam, że nie długo głos mój
Wstrzymać cię zdoła! że bez doświadczenia
Rzucisz się na świat.

Adalb. Mógłżem go tu nabyć?

Przeor. Tu ci, mój synu, było niepotrzebne,
Ale, wśród ludzi każdy krok twój będzie
Krokiem ślepoty, gdy bez niego stąpisz.

Adalb. Świat uczy życia; życie mądrość daje.

Przeor. Prawda, lecz możeszże przewidzieć dzi-
Jak drogo ziemia to światło ci przeda? [siaj,
Przybliż się, synu! Czyś się ty przypatrzył
Życiu przychodnia, co tu ma przytułek?
Z kilku słów, które wyrzekł, gdy mię prosił,
By się mógł schronić w murach Osyaku,
Wniosłem, że także kiedyś był żołnierzem.
Za całą chwałę, którą mógł się okryć,
Nie chciałbym w sobie serca jego nosić.
Może w młodości był, jak ty, szlachetnym,
I jak ty, pragnął chwały i honorów.
Zbyt śliska droga na ten szczyt prowadzi!
Często pod wieńcem, co ma być nagrodą,
Wąż jadowity leży, i ciasnymi
Skręty niebaczne serce obwiązuje.
Nie wychodź z portu, do którego później
Po wielu burzach, z zamąconą duszą,
Z cierniami w piersiach, mógłbyś i ty wrócić.

Adalb. Wzruszasz mię, ojcze, lecz nie prze-
[konywasz!

SCENA III.

Ciż i Wacław (wchodzi spjesznie, pomieszany)

Przeor. Cóż ci się stało? Czegożeś tak pobladł?

Wacł. Szanowny ojcze! Nigdybym nie wierzył,
Gdyby me własne oczy nie widziały.

Przeor. O czem chcesz mówić?

Wacł. Pozwól, niech odetchnę!
W ślady przychodnia tego szedłem. Sama
Litość mnie za nim często wyprowadza.
Wkrótcem go ujrzał na tej niebezpiecznej
Skale, co ostrą głowę swoję zwiesza
Nad Sławoboja przepaść. Stał i patrzał
W dno jej, złomami wieków najeżone.
Wstrząsłem się cały, skorom go obaczył.
Chciałem zawołać, tchu mi brakło. On zaś
Oboją ręką w piersi uderzając,
Schylił się, zachwiał... byłby upadł.

Przeor. Przebóg!

Wacł. Niespodziewanie jakaś dziwna postać
Stanęła przy nim. Na jej białej sukni
Widziałem ślady krwi; w swej ręce miała
Coś nakształt berła, jakie w uroczystych
Obrzędach zwykli mieć pasterze nasi.
Po chwili znikła. On, czy oswojony,
Czy jej nie postrzegł, stał bez ruchu, potem
Wzniósł oczy w górę, i tak śmiało, jakby
Po drodze setną nogą udeptanej
Zstąpił. Lecz patrzcie, oto już powraca.

(Mnich nieznajomy przechodzi zakryty między drzewami i gubi się za klasztorem; wszyscy milczą, póki nie przeszedł)

Przeor. (po chwili) Mam-że dać wiarę, coś mi tu
[powiedział?

Wacł. Ojcze mój! Jużem stary, i niedługo
Przed Bogiem stanę.

Przeor. W jego ręku cuda!
On może zamknąć przepaść przed grzesznikiem,
By mu zostawił porę do pokuty.
Obraz człowieka tego z myśli mojej
Ustąpić nie chce. Z tego, com sam widział,
Com teraz słyszał, wnoszę, iż to wielki
I znakomity zbrodniarz. Jego rysy,
Jego wspaniałe czoło, które marszczą
Ciężkie zgryzoty, jego chód i postać,
Świadczą, że kiedyś musiał stać wysoko.
Przytomność jego staje mi się przykrą.
W to święte miejsce modłów i pokoju
Wprowadził trwogę i ciekawość. Radbym,
Żeby już odszedł z Bogiem tam, skąd przybył.

Wacł. Rządca klasztoru tego, możesz przed nim
Tę bramę zamknąć.

Przeor. Tego nie uczynię.
Na cóż jesteśmy w tem zdziczałem miejscu?
Tu kwiat nie wschodzi, w tych się skałach żaden
Ptak nie zagnieżdża, zboże tu nie rośnie.
Ledwie mech nagie głazy przyodziewa
I smutne jodły w chmurach się zielenią.
Tu jest granica życia: tu nas ręka
Wszechmocna karmi, byśmy nieszczęśliwym,
Gdy ich przygoda na te szczyty wpędzi,
Podali kawał chleba, udzielili
Dachu przeciwko wichrom i przemocy.

Wacł. Lecz taki zbrodniarz!

Adalb. Wieszże co uczynił?

Wacł. Nie wiem, lecz może plamy jego ręki
Łzyby całego życia nie obmyły.

Przeor. Cokolwiek zrobił, niech zostanie. Dom
Otworem stoi nawet dla występku, [nasz
Który się z niebem jedna. Ale powiedz:
Niktże z was nie wie, kto on jest? skąd przybył?

Wacł. Któżby do niego zbliżyć się ośmielił?
Odkąd tu mieszka, żadnem jeszcze słowem
Nie zdradził głosu swego. Nadaremnie
Chciałby kto w głębi duszy jego czytać.
Dzikiem spojrzeniem, wprawnem do rozkazów,
Niszczy ciekawość, grozą przerażając.
Wśród cichej nocy, kiedy każde oko
We śnie się nurza, on się jeden błąka
Po kurytarzach, wzdycha, czasem staje,
Otwiera wąskie okna, i śpiewania
Puszczyka słucha. Mówią nawet bracia,
Że ktoś z nim chodzi krok za krokiem, mówi
Posępnym głosem, grozi, upomina.
Raz go znaleźli pode drzwiami celi:
Twarzą ku ziemi, bez pamięci, leżał.

Przeor. Wszechmocny Panie! bądź mu litości-
(patrząc nadół) [wym!
Cóż to za rycerz do nas się przybliża?

Adalb. Z krzyżem na piersiach! o mój ojcze,
Bym go powitał! (wybiega uradowany) [pozwól

Przeor. Jak pospiesza! Żal mi

Tego młodzieńca. Widzę, że napróżno
Surowy ojciec wygnał go ze świata.
Ta suknia sercu jego nie przystoi;
Pod twardą stalą wolniejby oddychał.
Wacł. I jam był takim.
Przeor. Ale gość nasz, widzę,
Z trudnością wspina się na górę naszą;
Musi być synem równin.
Wacł. Już niemłody,
I ciężka zbroja gniecie go do ziemi.
Radbym już wiedzieć po co tu przybywa,
I słyszeć co nam o swych czynach powie.
Przeor. Zbyt lubisz wojny.
Wacł. Wzrosłem wśród obozów.
Przeor. Sługą pokoju jesteś.
Wacł. Dawne chęci
Wracają czasem.

SCENA IV.

Przeor, Wacław, Szreniawita, Adalbert.

Przeor. Witam cię, rycerzu.
Szren. Niechaj dni wasze płyną wam w spokoju!
Po tem przyjęciu, po tej uprzejmości,
Tak miłej sercu, widzę, że gościnność
W tym domu mieszka.
Przeor. Jest nam przepisana
Przez te pobożne dłonie, co ten święty
Przybytek wzniosły.

Wacł. Mogęż się zapytać
Jak cię daleko droga twa prowadzi?
Szren. Ten krzyż wskazuje cel podróży mojej.
Idę do Ziemi świętej, idę walczyć
Wśród hufców wiernych, idę szukać śmierci
Z rąk barbarzyńców. A gdy Bóg pozwoli
Ocalić życie, idę opłakiwać
Grzechy, przy świętym grobie Zbawiciela.
Przeor. Droga daleka, zamiar twój chwalebny.
Jeżeli u nas tylko odpocznienia
Szukasz, wejdź, proszę! Czem nas miłosierdzie
Drugich wspomaga, tem się chętnie dzielim.
Szren. W innym tu celu jestem. Szukam wszędzie
Nieszczęśliwego, co się tu ukrywa.
Od was, pobożni bracia, od was, ludzie
Pełni dobroci, wiadomości żądam...
Przeor. Opowiedz śmiało, jeśli tylko wiemy:
Taić nie będziem, co cię zaspokoi.
Szren. Obym go znalazł! Przebyłem bogate
Królestwo Węgrów. Byłem w różnych stronach,
I tam gdzie Tejsa płynie, i gdzie Dunaj
Szerokie wody dnem głębokiem toczy.
Nigdzie i wieści. Nikt mi nie powiedział
O Bolesławie, co niedawnym czasem,
Każdemu dziecku w kraju tym znajomy,
We wszystkich sercach budził podziwienie.
Przeor. Szukasz człowieka, co się stał zapewne
Igrzyskiem losu.
Szren. Los mu długo służył

I wiódł w tryumfie po podbitych krajach,
Dał mu koronę, i piękniejszy od niej
Wieniec wielkiego w wojnie i w pokoju.
Dziś!... o potężna władzo przeznaczenia!
W cóż się obrócił! Do którego kolan
Z żebrzącym głosem króle się zginali;
Na czyj głos drżały mury twierdz, stolice
Potężnych władców; ten w łachmanach może
Tuła się pośród dzikich skał i lasów,
I twardym chlebem utrzymuje żywot,
Którego ranek purpura zdobiła.

Przeor. Rycerzu! mężnie patrzaj na tę zmianę.
Nic się nie dzieje ślepo. Bóg w swem ręku
Przeważa losy wszystkich śmiertelników.

Szren. Daruj łzom moim. O! nie może człowiek
Myśleć bez żalu o ruinach gmachu,
Który pomagał także podkopywać.

Przeor. Z jakiegoż kraju jesteś? I jakiego
Narodu królem był ów nieszczęśliwy,
Którego szukasz?

Szren. Jestem Polak rodem,
A królem moim był Bolesław Śmiały.

Przeor. Niemałe imię wspomniałeś, rycerzu!
I nam, odległym, znane.

Wacł. Mnie szczególnie.
Widziałem połysk miecza Bolesława.

Przeor. Czemuż w Karyntyi króla swego szukasz?

Szren. Tu go los zagnał i niewdzięczność ludzi!
Tu go wyprawił król Władysław. Słabość

Wymogła na nim obietnice; szczęście
Starło w nim pamięć przysług i przyrzeczeń.
Za dzielne wojsko polskie, co go niegdyś
Na odebranym tronie posadziło,
Dał przewodnika: by królowi memu
Pokazał drogę za granice Węgier.
Tegom ja spotkał nad brzegami Drawy:
Poznał mię dobry żołnierz, opowiedział,
Kogo w Karyntyi góry odprowadził.
Z prostą wymową odważnego serca,
Co ceni męstwo, które w sobie czuje,
Opisał nędzę nieszczęsnego króla.
Z nim się rozstawszy, błędne kroki swoje
Zapuszczam w góry wasze, i z bojaźnią,
Nieśmiałem okiem, pod nikczemną suknią
Szukam tej głowy, z której piorun nieba
Koronę strącił.

Przeor. Pozwól się zapytać,
Jakim występkiem niebo rozgniewane
Tak srogo króla twego ukarało?

Szren. Straszno wspominać dzieje te okropne.

Przeor. Zawszem ja ufał w sprawiedliwość nieba.
Mimo narzekań ludzkich, nigdym jeszcze
Nie widział kary, gdzie nie było winy.

Szren. Słusznie tak wierzysz, ojcze! ten sam za-
I ogień duszy, co go do dzieł wielkich [pał
Wiódł, póki serce jego było czyste;
Pchnął go do zbrodni, skoro się zepsuło.
Wszystkie ponęty uciech i miękkości

Hartowna młodość jego pokonała.
Szedł śmiało ślizką drogą cnót królewskich,
I pot szlachetny zwycięskiego czoła
Laurem ocierał. I niestety! wtenczas,
Kiedy wiek męski z tak pięknego kwiatu
Najdorodniejszy owoc obiecywał:
Wzgardził sam sobą i dojrzawszy, zniszczył
Wspaniałe dzieło młodej ręki swojej. (zatrzymuje się)

Wacł. Rycerzu! pilnie wszyscy cię słuchamy.
I mądrze mówisz, i o ważnych rzeczach
Wiedzieć nam dajesz.

Przeor. Mów więc dalej, prosim.

(siada na kamieniu)

Szren. Już w trzech stolicach głos nasz był [słuchany,
Już nad Mołdawą, Dnieprem i Dunajem
Chorągwie nasze nieraz powiewały,
Gdy przyszedł moment nowych i ostatnich
Tryumfów naszych. Z krajów swych wygnany
Książe Izasław prosił i nalegał.
Chwała, zysk państwa, wreszcie miłość wojny
Skłoniły króla. Daje znak: potężne
Hufce stanęły pod rozkazy wodza,
Który do zwycięstw tylko zwykł prowadzić.
Po licznych trudach i oporze mężnym,
Wreszcie otwarły się Kijowa mury.
Oby był wtenczas jaki anioł mściwy
Nagłem dotknięciem oczy jego zamknął!
Głos jego chwały byłby świat usłyszał,

I nieśmiertelny wawrzyn wiecznym cieniem
Grób największego z królów by ocieniał.

Przeor. Śmierć w dobrą porę bywa dobrodziej-
I biada temu, kto swą cnotę przeżył. [stwem,

Szren. Tak się też stało. Doszła was zapewne
Sława Kijowa.

Przeor. Któżby nie znał miasta,
Które z cesarzów greckich pysznym grodem
W zawody biegło?

Szren. Obyśmy go byli
Nigdy nie znali! Kogo trudy wojen
Zwalczyć nie mogły, kto z przygody każdej
Większym wychodził, temu krótki pobyt
W niemęskiem mieście odjął wszystkie cnoty.
Wśród podłych uciech, król nasz nieszczęśliwy
Zapomniał wszystkich powinności króla,
Ciału swojemu duszę swą zaprzedał.
Lubieżne dłonie pięknych Kijowianek
Odjęły jego zbroję, odpasały
Od boku oręż, i w objęciu miękkiem
Uśpiły męską duszę bohatera.
Za wzorem wodza poszło wojsko całe,
Zniknęła karność. Odgłos trąb, szczęk broni
W obozach ucichł. Słychać tylko było
Miękki głos kobiet roznoszących hasła,
Miłośne śpiewy i bezwstydne krzyki,
Do wyuzdanych uciech wołające.
Uczciwość, wiara wszystkich nas odbiegły.
Podły mieszkaniec miasta, co swą piersią

Bronić go nie śmiał, z chytrą uprzejmością
Dostarczał żądzom naszym nowej karmi;
Nad szczęście zgubę naszą przekładając
Poświęcał honor żon i córek swoich.
Kiedy tak brniemy zaślepieni, zewsząd
Przychodzą wieści o bezprawiach w domu.
Pochopne żony poszły w ślady mężów,
A córki ojców w hańbie przesadzały.
Znikła niewinność, i w kobietach naszych
Wstydliwa skromność cnotą być przestała.
Na taki odgłos wszyscy się ocknęli;
Mimo zakazów do swych domów śpieszą.
Zrzucone jarzmo uczciwości nagle
Skruszyło więzy posłuszeństwa. Każdy,
Okryty hańbą, wstydem i niewiarą
Bieży do kraju, swoje własne zbrodnie
Karać w kochance, córce albo żonie.
Król opuszczony, wkrótce ze szczątkami
Wojska przybywa. Nic go nie wstrzymuje;
Z jego skinienia płynie krew żołnierzy,
Którzy złamali zakaz; z woli jego
Strumieniem płynie krew występnych ofiar,
Co przykład jego naśladować śmiały.
Przestrach uderza garstkę nieskażonych!
W milczeniu patrzą na tyrana.—Wszyscy
Z drżeniem czekają chwili, w której groźny
Miecz jego gniewu serca ich dosięże.
Wreszcie zbytkami tylu oburzony
Pobożny kapłan, pasterz znakomity

I święty człowiek, co potężnym głosem
Umarłych z grobu wywoływał, mniemał,
Że tymże głosem cnotę w królu wskrzesi.
Staje więc przed nim, błaga, upomina,
Grozi przekleństwem Boga i kościoła.
Daremnie rzucał słowa swe na skałę,
Którą rozpalał najstraszliwszej zemsty
Piekielny ogień. Bo gdy mąż ów święty,
W cichej świątyni, przed ołtarzem, błagał
Boga, w którego ręku serca królów,
Drzwi się otwarły, tłuszcza najemnicza
Z dobytym mieczem weszła. Czy świętością
Cnót jego tknięta, czyli ręką Boga
Na twarz rzucona, padła. Niecierpliwy
Król drugi orszak wysłał. I ten równie
Za próg świątyni wszedłszy, osłupiały,
Przejęty trwogą, dalej nie postąpił.
Tu wściekłość jego granic już nie miała!
Wpadł do kościoła, zemstą pałający
Wzrok już zdaleka na kapłana miotał,
Po karkach sług swych przebiegł do ołtarza,
I dzikim mieczem, wśród ofiary Pańskiej,
Nieulękłego własną ręką zabił!

(wszyscy przerażeni, rycerz staje, ponuro patrząc w ziemię)

Przeor. (powstawszy) Na takie zbrodnie ziemia
I niebo łaski!... [nie ma kary,

Szren. (ze wzruszeniem) Wstrzymaj słowa twoje!
I pozwól, abym sam tu z tobą został.

Przeor. (daje znak, Wacław i Adalbert odchodzą)
Cóż masz powiedzieć?

Szren. O czcigodny ojcze!
W dalekich stronach słyszałem o tobie.
Pobożność twoję, świętość twojej cnoty
Znam i z ufnością błagam cię o litość.
Cofnij twój wyrok, który mię przeraża.
Boleśniej żadne ostrzeby nie tknęło
Mojego serca, jak te słowa twoje.
Tych okropności, tych szkaradnych zbrodni,
Na które ziemia nie ma żadnej kary,
A niebo łaski, radcę i wspólnika
U nóg twych widzisz. (klęka, przeor się odwraca)
Nie odwracaj wzroku!
Grzesznik cię błaga, grzesznik żałujący
Ze łzami w oczach u nóg twoich leży,
I ze czcią brzegi sukni twej całuje.
O! ważny w niebie głos prawego serca!
Zjednaj nędznemu miłosierdzie, cofnij
Ten ostry wyrok i choć jednem słowem
Słabej nadziei duszę moją pociesz!

(Przeor stoi przez chwilę patrząc w niebo, rycerz klęczy z nachyloną głową i ze złożonemi na krzyż rękami)

Przeor. (po niejakim czasie)
Powstań, grzeszniku; w imię Boga, który
Żal twój przyjmuje, mogę cię pocieszyć.

Szren. (powstając) Dzięki ci, ojcze, za ten drogi bal-
W twojej szanownej twarzy, w twej osobie, [sam.
Świętość i czystość mieszka. Nigdy pewnie

Żaden czyn piersi twoich nie zamięszał.
Nigdy zapewne robak jadowity,
Co snem ukoić, ani się modlitwą
Uśpić nie daje, w sercu twem nie czuwał.
Nie znasz zgryzoty i dlatego nie wiesz,
Jakim jest skarbem dla mnie tej pociechy
Kosztowne słowo.

Przeor. Miłosierdzie Boga,
Jak niebo jego, nieograniczone.
Co żal twój zaczął, niech pokuta skończy.

Szren. Obyś mógł widzieć całą duszę moją!
Powiedz mi teraz, czy w ustroni waszej
Król mój nie mieszkał? Czy pokutnik jaki
Blizko klasztoru tego nie przebywał?

Przeor. Ile wiem, ile się domyślać mogę,
Wszystko ci powiem. Pójdź, rycerzu, ze mną!

(odchodzą)

SCENA V.

Mnich nieznajomy (wchodzi z przeciwnej strony i postrzega odchodzącego za przeorem Szreniawitę)

Coż to za żołnierz? Ta mi postać znana.
Cóżby tu robił? Po coby tu przyszedł?
Nie do mnie pewnie! O mnie świat zapomniał.
Dawnom nie widział hełmu i pancerza,
I na ich widok dziwnem się wzruszeniem
Przejęty czuję. Jeszczebym miał w sobie
Iskrę zapału? Mogłażby się jeszcze
W płomień rozniecić pod żelazem, które

Kolebką było moich lat dziecinnych?
Nie, nie, nie! nigdy! z krwawej dłoni mojej
Wymknął się oręż, berło wyślizgnęło.
Przeklętej głowy mojej nie odzieje
Hełm, ni korona. Kij żebraczy, kaptur,
Podłe łachmany—to szkarłaty moje!

(siada na kamieniu zakrywając twarz)

SCENA VI.

Mnich, Wacław i Adalbert (zbliżają się, słychać dzwonek)

Wacł. Pójdźmy już, bracie, dzwonek na nas woła!

(postrzega mnicha)

Otóż on, patrzaj! Zimno mnie przejmuje,
Jak gdybym ducha tego przy nim widział.
Zbliż się doń, bracie, ostrzeż, że już późno

Adalb. Ty sam to uczyń; wszakżeś dosyć często
Przez samę litość nawykł go ostrzegać.

Wacł. Nie śmiem.

Adalb. Żołnierzu!

Wacł. Śmiałym tylko z ludźmi.

Adalb. Nie byłem z tobą: ale mi się zdaje,
Że ci i w bitwach duchy się zjawiały.

(zbliża się do mnicha)

Mnich. (porywa się) Czego chcesz?

Adalb. Chciałem ostrzedz cię, że późno.
Wejdź do klasztoru, wkrótce furtę zamkną.

Mnich. Żaden odźwierny jaskiń nie zamyka;
Jest ich tu wiele i znam do nich drogę.

Adalb. Kamień zanadto twardem jest posłaniem.
Mnich. Gdy dusza nie śpi, każde łoże twarde.
Adalb. Stroskana dusza niech pociechy szuka
Pod dachem ludzkim, i w przyjaznych piersiach.
Mnich. Kogo pocieszyć jeszcze ludzie mogą,
Nie jest zupełnie nieszczęśliwym.
Wacł. Źle jest,
Że od nas stronisz.
Mnich. (patrząc nań surowo) Bom niektórych po-
[znał.
Wacł. Boisz się raczej, byś poznanym nie był.
Mnich. Zuchwały mnichu! kto ci to powiedział?
Czegoś się wpatrzył? Co jest w twarzy mojej,
Coby ciekawość twoję obudzało?
Zawsze cię widzę tuż przy sobie, jakbyś
Cieniem był moim. Zostaw mnie, niech nigdy
W śladach mej stopy noga twa nie staje.
Tego wymagam! Drugi raz bezkarnie
Przestrogi takiej z ust mych nie usłyszysz!

(odchodzi w bok klasztoru)

Adalb. Wierz mi, mój bracie! Człowiek ten
Daremnie grozić. [nie nawykł
Wacł. Niech mu Bóg przebaczy,
Że tak źle dobre chęci moje płaci.
Gdy porównywam, co nam rycerz mówił,
Z życiem i słowy jego, widzę jawnie,
Z jakim człowiekiem mamy do czynienia.
Czy się domyślasz?

Zakład Filologii Polskiej UMK BIBLIOTEKA Toruń

Adalb. Czego się domyślam,
Nie mówię nigdy, bo się mylić mogę. (odchodzi)

Wacł. (sam) Teraz rycerza tego radbym zna-
Ja go podobno z wszystkich braci moich, [leść,
Najlepiej przyjmę. Bo wiadomość dobra
Czekającemu jest najmilszą ucztą.

Akt drugi.

Miejsce to samo co i w akcie pierwszym.

SCENA I.

Szreniawita, Adalbert.

Szren. Młodość cię czyni śmiałym i bezpiecznym.

Adalb. Dojrzałe serce w młodych piersiach noszę.

Szren. Nie znasz podróży trudów, nie znasz gro-
Wojen, i męstwa owych barbarzyńców, [zy
Co nogą swoją splugawili ziemię,
Po której Bóg nasz chodził.

Adalb. Nie, rycerzu!
Nie sądź o sercu mojem po tej sukni.
Wytrzymam wszystko, jak ów dąb nieletni,
Co się pod wiatrem zgina, lecz nie pęka.
Nie znam bojaźni, kiedy sobie czasem
Wystawiam kraj ów zajechany, kiedy
W myśli postrzegam tłum pobożnych ludzi,
Bezbronnych chrześcian, którzy dom, rodzinę,

Wszystko rzucili dla pielgrzymki świętej;
A tam ich trzoda zbójców napastuje
Z ich pobożności szydzi, i bezkarnie
Nogami depce grób Wielkiego Boga.
O! wtenczas krew mi zawre, i nieznana
Siła napełnia młode piersi moje.

Szren. (patrząc nań z radością)
Zacny młodzieńcze! Widzę, żeś zapewne
Nie z własnej woli suknię tę przyodział.

Adalb. Kto mię w nią ubrał, niech mu Bóg [wybaczy!
Łez mych nie ceniąc, serce swoje skrzywdził.
Wiedział to dobrze, że nie dla mnie mury
Wiecznie zamknięte, ciemne kurytarze,
Gdziebym nieczynnie chodząc, jak i drudzy
Mruczał modlitwy usty, a nie sercem.
Domem był dla mnie obóz! Od dzieciństwa
W orężach tylko miałem swą zabawę.
Znał mię, a przecież prośbą moją wzgardził.
Czemuż się żalę, gdy naprawić można,
Co on w złej myśli zepsuł? Daj mi słowo,
Zacny rycerzu, że mnie weźmiesz z sobą.
Przy boku twoim przejdę te przestrzenie,
Co nas od ziemi świętej oddzielają.
Przy boku twoim walcząc, twym przykładem
Tę rękę wzmocnię i tę pierś zagrzeję,
Jeżeli duszy ciało nie wystarczy.

Szren. Uważ, młodzieńcze, czego żądasz po mnie!

Mamże niewdzięcznym być domowi temu
I krzywdą płacić mu gościnność jego?
Adalb. Tego się nie bój! Przeor zna me chęci
I wie, że nic mnie tu już nie zatrzyma.
On mi na ziemi ojca zastępuje
I spokojniejszym będzie, gdy przy tobie
Rzucę się na świat i do walk wystąpię.
Daj mi swą rękę!
Szren. Masz ją, ale pomnij,
Żeś się z człowiekiem złączył, co z rozpaczy
Przy schyłku życia w nowe boje śpieszy.
Gdy trąba zabrzmi, gdy powieje sztandar,
To szabla moja tam cię zaprowadzi,
Gdzie lub zwyciężyć trzeba, lub się schronić
W objęcia śmierci.
Adalb. Znajdziesz mnie przy sobie!
Lecz pośpieszajmy: cięży mi ta suknia,
Jakby kamienną była. Pod żelazem
Wolniej odetchnę. O! rycerzu, śpieszmy!
Niech ujrzę własnem okiem, com w czuwaniu
I we snach myślą tyle razy widział.
Lecz czegoż patrzysz? Kogo stąd wyglądasz?
Szren. Zdawało mi się, że się ktoś przybliża.
Nie wrócił jeszcze?
Adalb. Kto?
Szren. Ów dziwny człowiek,
Którego życia i postaci opis
Do tego miejsca kroki me przykuwa.
Lecz ty, młodzieńcze, w uniesieniu twojem,

W bystrych nadziejach, co cię naprzód pędzą,
Jużeś zapomniał o nim.

Adalb. Prawda, daruj!
Nie miej mi za złe! lecz gdy radzie mojej
Uwierzyć zechcesz—i ty nie myśl o nim!

Szren. Nie mogę, muszę widzieć go, z nim mówić,
Ujrzeć te rysy, których obraz w głębi
Piersi swych noszę.

Adalb. Dziwisz mię, rycerzu!
Nie mogę pojąć, co cię znagla poznać
Człowieka, który chroni się przed ludźmi.
Jak on od wszystkich, tak od niego każdy
Chętnie ucieka; może nawet nie wart,
Byś ręce jego podał dłoń uczciwą.

Szren. Ta trwoga, którą w sercu mojem czuję,
Mówi mi głośno, kto on jest. Młodzieńcze!
Ty nie wiesz, kogo w nim mam znaleść.

Adalb. Choćby
Ów nieszczęśliwy był wasz król Bolesław,
Cóż cię do niego przywiązywać może?
Występny, umarł dla uczciwych. Zbrodnia,
Jest to śmierć, która niszczy wszystkie związki
I krwi, i serca, i społecznych ustaw.
Unikaj zatem!... raczej uchodź przed nim,
Śpiesz w jak najdalsze kraje; niech was morza
I ziemie dzielą.

Szren. Tak więc myślisz? Także
Twardem jest serce twoje? Czyliż przejście
Z tronu do wzgardy, z blasku majestatu

Do podłej szaty, nędzy i żebractwa,
Małą jest jeszcze karą?

Adalb. Daruj! Daruj!
Serce me twardem nie jest. Niecierpliwość,
Chęć porzucenia murów tych posępnych,
Podały ustom słowa, wcale obce
Mojemu sercu. Mogę ja czuć litość
Nad nieszczęśliwym, choćby był występnym;
Lecz cóż mu litość nasza pomódz zdoła?
Wzgardzi przysługą i z odrazą przyjmie
Przychylne słowa i przyjazne chęci:
Dlatego próżnobyś z nim czas swój tracił.

Szren. Nie sama litość wiąże mnie do niego.
Silniejszy węzeł nas krępuje.

Adalb. Jakiż?

Szren. Wspólność występku, równy udział kary.
Nie dziw się i nie badaj. Wyższa siła,
Głos, który wyszedł z grobu, kiedym nad nim
Klęczał i płakał: kazał mi go szukać.
Rzucić się do nóg jego, by przebaczył
Niegodnym radom, które go zgubiły.
Noc była wtenczas, wszystko spoczywało!
Ja sam, dręczony jadem nieprzeżutym,
Tonąłem we łzach nad samotnym grobem.
Naglem ten rozkaz przejął i nadzieję,
Że to jest sposób, co nas obu zbawi.
W głębi mych piersi serce mi zadrżało,
Uradowany poprzysiągłem Bogu,
Że wprzód nie umrę, póki go nie spełnię.

BIBLIOTEKA GŁÓWNA

Nie sil się zatem, byś mię odwiódł! Jeśli
Ten nieszczęśliwy, co się u was tuła,
Mym królem nie jest; pójdę dalej w każdej
Chacie go szukać, wszystkich ludzi badać,
Każdej jaskini, skały i każdego
Echa wołaniem mojem pytać będę.

Adalb. Nie mogę ganić pięknych uczuć twoich
Choć z żalem żegnam gwiazdę, co mi nagle
Błysła, i znowu za chmurami gaśnie.

Szren. Może te chmury przejdą, bądź cierpli-
Lecz patrzaj, któż to idzie? [wym!

Adalb. Raz tu pierwszy
Tego człowieka widzę. Jestto kapłan,
Jak suknia jego mówi. Zwykle takich
Biskup wyseła z rozkazami swymi.

SCENA II.

Szreniawita, Adalbert, Ksiądz.

Ksiądz. (przybliża się zwolna)
Pokój niech będzie z wami!

Adalb. Z uprzejmością
Przyjmujem wszystkich, co nam pokój głoszą.

Ksiądz. (siadając na kamieniu)
Męką jest podróż do was.

Adalb. Każda droga,
Która wysoko wiedzie, nie jest łatwa.

Ksiądz. Trud męczy ciało, a niebezpieczeństwo
Przeraża duszę.

Adalb. Musi tuż przy sobie
Widzieć przepaści, kto chce dojść do szczytu.
Ksiądz. (patrząc w około)
Piękny tu widok oku się otwiera.
Adalb. Jest on nagrodą trudu i wytrwania.
Ksiądz. Mała nagroda za zbyt wielką pracę.
Gdyby nie rozkaz, który mię tu przygnał,
Nie chciałbym podjąć się jej z własnej woli.
Adalb. Jakiż nam rozkaz niesiesz?
Ksiądz. Wolę Rzymu.
Adalb. Czegoż wymaga po nas wola Rzymu?
Ksiadz. (powstając) Nie tylko was się tyczy.
[Wkrótce wszędzie
Zabrzmi i każde ucho ją usłyszy.
Ktokolwiek w wieczór przed zamknięciem oka
Krzyżem zbawienia sen swój ubezpiecza;
A rano wstając tymże świętym znakiem
Jutrzenkę wita: wiedzieć o nim będzie
I spełnić musi.
Adalb. Ważną rzecz zwiastujesz.
Ksiądz. Kara występnych zawsze ważna.
Adalb. Jakaż
Kara ma spotkać, i jakiego zbrodnia?
Ksiądz. Żaden się człowiek zbliżyć nie powinien
Do występnego, co tej karze popadł,
Żadne go usta witać, żadna ręka
Miłem ściśnieniem żegnać nie powinna.
Słowo, przysługa, litość i przychylność
Ku niemu, zbrodnią jest, śmiertelnym grzechem.

Ojciec, brat, żona, wszyscy go odstąpić,
Wszyscy zapomnieć o nim przymuszeni.
Jeśliby chleba u drzwi prosił, nie dać;
Jeśliby konał, i spaloną wargą
O kroplę wody błagał, dać nie można...
Jeśliby umarł, pod surową karą
Nikomu z chrześcian chować go nie wolno.
Owszem z zagrody swojej, ciało jego
Cisnąć na pole, by go psy grzebały.

Szren. Okropna klątwa!

Ksiądz. Okropniejsze zbrodnie,
Za które spadła na wysoką głowę.

Szren. Wysoką?

Ksiądz. Tak jest, ale sprawiedliwość
Ojca Świętego szuka tylko winy,
Nie patrząc, że purpura ją osłania.

Szren. Jakiemuż władcy piorun ten zagroził?

Ksiądz. Był królem polskim, już nim więcej nie [jest.
(Szreniawita odstępuje nagle kilka kroków i odwraca się)
Tuła się w kraju naszym, jak są wieści.
Dlatego śpiesznie wszędzie się rozchodzi
Rozkaż biskupa, by od tej zarazy
Prowincya nasza oczyszczoną była.
Nie byłże u was? Bo to miejsce, widzę,
Dogodnem jemu byłoby schronieniem.

Adalb. Lepiej wam o tem przełożony powie.

Ksiądz. Jeżeli był tu, musisz i ty wiedzieć.

Adalb. Wiem tyle tylko, ile mi nasz starszy
Wiedzieć rozkazał.

Ksiądz. Prowadź mię do niego!

Adalb. Rycerzu! My się wkrótce obaczymy.

(odchodzą)

Szren. (sam) I tu go ściga wyrok niezbłagany!
Jak to powietrze, wszędzie go otacza
Straszliwa klątwa, której treść okropną
Wymówił zimno ksiądz ów bez litości.
Nieba! nie wiedział, że mię każdem słowem
Za serce chwytał. Takażto więc sława
Rozniesie wszędzie imię twoje? Tak że
Z granic ludzkości wywołany, strasznym,
Jak zwierz drapieżny, masz się stać widokiem?
Dawniej twój uśmiech, twoje słowo, twoje
Zbliżenie, było łaską nad wyrazy.
Szczęśliwy, komuś rękę swoję podał:
Szczęśliwszy, kto ci przywiązania swego
Dał jaki dowód, sercu twemu miły.
Dziś, nikt na ciebie oka nie podniesie;
Nie znajdziesz dachu, gdziebyś mógł spokojnie
Swą głowę schronić; każde serce zimno
Na twoją boleść patrzeć, z twego losu
Urągać będzie; żadna ręka chętnie
Powiek nie zamknie, gdy cię śmierć powoła,
Nikt ciału twemu czci ostatniej nie da,
Przed okiem ludzi twardych, przed szponami
Drapieżnych ptaków ziemią nie osłoni!
Męczarnio sroga! niewypowiedziana!

(stoi przez niejaki czas z założonemi rękami, z nachyloną głową; potem odchodzi zwolna)

SCENA III.

Ciemny kurytarz przy bocznych drzwiach do kościoła; słychać głos zakonników modlących się w chórze.

Chór. (za sceną) Módlmy się Panu!

Mnich (wchodzi i zbliżając się ku drzwiom kościoła — staje).
Tu kres: za próg ten jeszczem nie przestąpił!
Gną się kolana, ile razy pragnę
Przejść tę granicę. Wszystko w tej świątyni
Tak mi ów straszny moment przypomina!
Ołtarz, sklepienia, ciemność, każdy załom
Muru podobny, tenże sam. O mamże
Oglądać tylu świadków mojej zbrodni?
Mamże pójść liczyć krople krwi na ścianach?
Wejść na te stopnie, z których niegdyś...? Nigdy!
Nie! tu zostanę, stąd ich słyszeć mogę...
Chciałbym się modlić, chciałbym rzewnie płakać.
Biada mi! Oczy moje wiecznie suche,
Serce do nieba drogi zapomniało
I Bóg już głosu mego nie rozumie.

Głos pierwszy. (w chórze)
Duszo! czcij Boga, który światem rządzi,
Wielka jest twoja potęga;
On głębi serca wzrokiem swoim sięga
I myśli sądzi.

Głos drugi. Wszechmocny Stwórco! Ojcze i Pa-
Ciebie ja szukam w strapieniach moich; [nie!
Niech mój głos rzewny, moje wołanie
Dojdzie do uszu Twoich.
Dziki wróg na mnie ząb swój nasrożył,

Alem ja w Tobie ufność położył;
Gdy mię Twych skrzydeł tarcza zasłoni,
Żaden mię grot nie dogoni.

Głos pierwszy. Ach! kogo Twoja opuściła rę-
Jakże bezsilny i mały; [ka,
Każdy go nieprzyjaciel zwycięża i nęka,
Każdy wiatr go porywa i bije o skały.
Nieszczęśliwy wędrowiec rzucony w bezdroże,
Próżno woła o gwiazdę i o ścieżkę pyta:
Błąd go w puszczy zagłębia, strach za piersi
I w zimne prowadzi łoże. [chwyta

Chór. Módlmy się Panu!

Mnich. Módlcie się za mnie. O! modlitwa wasza
Dojdzie do nieba, jako hymn ufności.
Westchnienie prawej duszy jest najczystszym
Oddechem ziemi; hołd ten najgodniejszy
Chóry aniołów przed tron Boga wznoszą,
Lecz w czyich piersiach jeden głos się wznosi,
Jedna myśl czuwa, jak samotna palma
W pustyni skwarem słońca wypalonej;
Na czyjem czole w chwili urodzenia
Szatan położył piętno swej własności:
Niech się nie modli, niech przeklina tylko
Ten groźny moment, w którym ziemię ujrzał.

Głos pierwszy. (w kościele)
Nędzny grzeszniku! padnij na kolana!
Przyrzeczeń Boga twego nie miej za nic!
W nim wszystka władza, w nim stałość doznana
I miłosierdzie bez granic.

Zalej się łzami skruchy i pokory,
Niech się twe serce zmiękczy i rozczuli;
On cię jak ojciec, w przebaczeniu skory,
Do łona swego przytuli!

Głos drugi. Tyś był niezgiętym dla twojego [brata,
Pełen mściwości i pychy;
Tyś gardził prośbą, a Bóg, władca świata,
Słyszy cię, prochu znikomy i lichy!
Już ci miał słuszną karę wymierzyć,
Ale żal szczery dostrzegł w twoim jęku,
I groźny piorun, co cię miał uderzyć,
Zgasł w Jego ręku.

Głos pierwszy. Zwróć ku nam, Panie, oczy łaskawe,
Sprawiedliwości nie uzbrajaj swojej!
Bo czyjeż serce tak czyste i prawe,
Aby z ufnością i śmiało
Sądu Twojego czekało
I pomsty Twojej?

Chór. Módlmy się Panu!

Mnich. Wasz mi głos ufać, ufać nakazuje!
Przed drzwiami tylu świątyń jużem błagał
Nieba o łaskę, świat o przebaczenie.
Okryty twardym włosem, leżąc w prochu
Przynajmniej płakać mogłem i płakałem.
Dziś, zamiast ulgi, łzy mi odebrano!
Dawniej widziałem litość. Nieraz nędzarz,
Który wyciągał rękę pod kościołem,
Niepomny własnej doli, ze łzą w oku
Na mój stan patrzał. Dziś postrzegam tylko

Zimnych, ciekawych, przestraszonych ludzi.
Lecz mamże bluźnić? O! nie, nigdy, nigdy!
Żal zgasi piorun nieba, i zgryzota
Stępi swe ostrze na tym samym głazie,
Który pokuta kolanami zetrze.
Tylem zbrodniarzów widział, w oczach moich
Nieraz się rozpacz z życiem pasowała:
Przecież po długiej walce i pokucie,
Występny grzesznik, jak niewinne dziecię
W objęciach matki, w rękach śmierci usnął.
I mój czas przyjdzie. Wszystko się zaczyna
I kończyć musi: to jest godło ziemi.
I ty, straszliwy głosie mego serca,
Musisz umilknąć, musisz także ustać.
Kiedy grzmi niebo, kiedy wicher szumi
I zgina lasy: głuchy na tę wrzawę
Nieba i ziemi, ciebie tylko słyszę.
Ale cię uśpi ręka, co ucisza
Ryk morskiej fali. Władza jej bez granic,
Jak miłosierdzie, którem kierowana. (po chwili)
Cóż to? Szalony! mogęż mieć nadzieję
W przepisach ziemi, w prawach innych ludzi?
Biada mi! biada! Jak wir prochem miota
Na wszystkie strony, tak myślami memi
Rzuca żelazna ręka przeznaczenia.
Gdzież się mam udać? Co się kolwiek stanie,
Ten próg przestąpię. Z żalem i rozpaczą
Upadnę na twarz przed obliczem Boga.
Niech się sklepienie domu jego zwali!

Śmierć da mi ulgę. (idzie, i cofając się krzyczy)
Przebóg! Sędzio świata,
Krew na ołtarzu. (pada bez zmysłów)

SCENA IV.

Adalbert, Stary zakonnik i dwóch innych.

wychodzą śpiesznie z kościoła.

Adalb. Cóż to jest? (spostrzegając mnicha)
Ach! przebóg!

Stary zak. Nic tu dziwnego nie ma, bracia moi!
Ręka to Boga, co dotyka jawnie
Złego człowieka.

Adalb. O! nieszczęsny, jakież
Życie on wiedzie!

Stary zak. Dnia to pochmurnego
Burzliwy wieczór. Wszystko ma swe źródło:
Z czystego nieba piorun nie wypada.
Własną on ręką groty te zaostrzył,
Które ku niemu sprawiedliwość Boga
Na powrót zwraca. Ale już powstaje:
Podajcie rękę upadającemu!
Dałbym wam przykład, lecz mię wiek osłabia.
(podnoszą go, on staje przy murze z nachyloną głową)

SCENA V.

Ciż sami, inny zakonnik. (wchodzi)

Zak. Jestem przysłany do was, bracia moi,
Zebrać się mamy zaraz u Przeora.

Tam przełożony wszystkim nam ogłosi
Rozkaz biskupa. I was, cudzoziemcze,
Także przyzywa.

Mnich. (słabym głosem) Będę mu posłusznym.

Stary zak. Pójdźmyż natychmiast, bracia! Nie [przystoi,
Ażeby starszy czekał na podległych.

(odchodzą, i mnich za nimi, wsparty na ramieniu Adalberta)

SCENA VI.

Mieszkanie przeora.

Wacław, Ksiądz. (stoją na przodzie, zakonnicy schodzą się)

Ksiądz. (patrząc na przechodzących)
Jak liczne wasze zgromadzenie?

Wacł. Szczupłe.
Było nas ośmiu. Dwa tygodnie temu
Dom ten utracił wielką swą ozdobę.
Ojciec Ambroży, po cierpieniach wielu
Zszedł z tego świata.

Ksiądz. Mówiąc prawdę, w miejscu
Tak nieprzyjaznem, cudem jest wiek późny:
Tubym żyć nie chciał.

Wacł. Żołnierz i zakonnik
Nie ma swych chęci i nie może pytać,
Gdzie mu iść każą. I na koniec świata
Dąży w milczeniu, wypełniając rozkaz.

Ksiądz. Wierz mi! prawdziwy tu jest koniec [świata.

Stary zakonnik. (który się był zbliżył)
I jam tak myślał z razu, gdym tu przybył.

Wkrótcem to poznał, że się do wszystkiego
Przyuczyć można. Inne rzeczy mają
Miejsce i strefy sobie przeznaczone.
Wierzba nie rośnie na wysokich skałach,
Modrzew nie wzbije się na mokrym gruncie,
Mech nie okryje bujnej ziemi ani
Trawą się twardy kamień nie odzieje.
Sam człowiek wszędzie znajdzie swą ojczyznę.
Na każdem miejscu i pod każdem słońcem
Żyje i wzrasta, i ma dosyć zaco
Wychwalać Stwórcę.

Ksiądz. Mądrość to największa,
Polubić swoje i nie żądać lepiej.

SCENA VII.

Ciż sami, Mnich i Adalbert.

Ksiądz. Cóż to za człowiek? Pozór jego dziki.

Wacł. (usuwa go na bok)
I życie takież. Nie jest to zakonnik.
Ilem mógł dociec z jego słów i życia,
Ilem z powieści innych złożyć zdołał,
Ledwiem niepewny, że to król Bolesław.

Ksiądz. Jakto być może? Cóż on u was robi?

Wacł. Żądał schronienia i otrzymał.

Ksiądz. Dawno?

Wacł. Już dni dwadzieścia temu.

Ksiądz. I wasz przeor
Nie zna go?

Wacł. Nikt go nie zna. Com wam mówił,

Jest skutkiem śledzeń moich i domysłów.

Ksiądz. Teraz się wydać musi.

Wacł. Niekoniecznie.

Trzeba cudownej rószczki, by z tej skały
Źródło prawdziwych słów wydobyć mogła.
Silnie on zamknął tajemnicę swoję,
Jak skarb najdroższy. A jak postawiony
Na czatach żołnierz, na to ciągle czuwa,
By go nikt podejść i przeniknąć nie mógł.
Ale my dojdziem prawdy. Dobra właśnie
Myśl mi nadeszła. Niech mię Bóg uchowa,
Bym mu chciał szkodzić albo przez ciekawość
Odkryć go żądał; lecz z wyklętym człekiem
Być w jednym domu, jestto grzech śmiertelny.

Ksiądz. Jakiż masz sposób?

Wacł. Zaraz wam go powiem.
Przybył tu wczoraj jakiś rycerz polski.

Ksiądz. Polski to rycerz? Tegom widział.

Wacł. Otóż
Słuchajcie; — zna on pewnie swego króla,
Gdy go tu szuka; a ujrzawszy z nagła....
Lecz otóż przeor.

Ksiądz. Reszty się domyślam.

SCENA VIII.

Ciż sami, Przeor. (wchodzi bocznemi drzwiami, z papierem w ręku)

Nie z woli mojej tu jesteście, bracia!
Wyższy was rozkaz zwołał. Ten szanowny

Kapłan go przyniósł, ja go wam objawię:
Wyklętym został zbrodniarz, co był niegdyś
Potężnym królem. Nie tu czas, ni miejsce
Mówić wam, za co ściągnął na swą głowę
Tę karę nieba, za co grom Kościoła
Strącił go z tronu. Wiedzieć tylko macie,
Że władał Polską; że to król Bolesław,
Którego silnej broni sławny odgłos
Nawet o mury nasze się obijał.
Bóg w gniewie swoim zseła zaślepienie
I na potężnych namiestników swoich;
Karze narody, odejmując cnotę
Królom. To wola jego. My dziękujmy
Panu, że od tych ciosów nas uchronił,
Którymi dotknął Słowian, braci naszych.
Rozkazom głowy naszej posłuszeństwo
Ślepe należy. My, kościoła słudzy,
Winniśmy spełniać ostry jego wyrok.
Odtąd więc, bracia, ja wam zakazuję,
By ten, co z łona ludzi wywołany,
Od was przytułku, ani wsparcia, ani
Pociechy nie miał. Pewne są pogłoski,
Że się tu błąka i w tych górach tuła.
Niech się więc zamknie brama tego domu,
Gdy przed nią stanie. Odwracajcie oczy,
Byście łez żalu jego nie dostrzegli;
Zamknijcie uszy wasze, by was prośba
Lub skarga jego zmiękczyć nie zdołała.
Tak rozkazuję, tak spełniajcie!

Ksiądz. Może
Który z was słyszał o nim? Może nawet
Mówił z nim, lub go widział, albo wspomógł?
Przeor. Przyznajcie, bracia: grzech to bez wątpienia,
Lecz mimowolny; Bóg go wam przebaczy,
Lecz się oczyścić z niego powinniście.
Dom ten modlitwy miłosierdziem urósł
I miłosierdziem długi swoje płaci.
Niktże go nie zna, nikt go nie wspomaga?
(wszyscy milczą, spoglądając na Mnicha)
Przeor. (obracając się do księdza)
Milczą, i wszystkich oczy się zwróciły
Ku temu, który pośród nas przebywa
Od dni niewielu. Jam mu dał schronienie,
I możem ja z nich wszystkich najwinniejszy.
Ksiądz. Któż on jest?
Przeor. Nie wiem. Szanowałem dotąd
Milczenie jego, teraz mię potrzeba
Zmusza zapytać. (obracając się do mnicha)
Któż więc jesteś? Powiedz!
Mnich. Grzesznikiem jestem.
Przeor. Wszyscyśmy grzesznicy.
To nam dziedzictwo wszystkim się dostało
Po wspólnym ojcu. Powiedz nam wyraźniej!
Sam widzisz, jaka mię konieczność zmusza.
Z jakiegoż kraju jesteś? Coś uczynił?
Czem byłeś dawniej? Co cię tu przygnało?
Mnich. Nie mam już kraju, jestem tułacz, żebrak,
Na ziemi mojej imię me przebrzmiało.
Com gdzie uczynił, trwa już we mnie tylko,

Przeżyłem siebie i nie jestem teraz,
Czem dawniej byłem.

Przeor. Dwuznacznemi słowy
Próżno chcesz trwogę moję zaspokoić.
Niewinność mówi jasno i otwarcie.
Nie ma zarzutu, by nań człowiek prawy
Nie miał natychmiast prostej odpowiedzi.

Ksiądz. (do Wacława) Prawdęś powiedział.

Wacł. (do księdza) Zaraz rzecz tę skończę.
(odchodz.)

Przeor. Milczenie twoje mocno cię oskarża.
Przerwijże; powiedz, czego wiedzieć pragniem,
Jeśli ci miło zostać pod tym dachem
I tu zakończyć byt twój skołatany.
Inaczej ustąp, byśmy nie mniemali,
Że nieposłuszni woli naszej władzy,
Cierpiąc cię u nas, pełnim grzech śmiertelny.

Mnich. Ustąpię zatem. Nie przywykłem prosić.
Los mój: wygnanie. Tem to słowem: ustąp!
Wszyscy mię witać, wszyscy żegnać muszą.
Taką jałmużnę każdy mi wyrzuci,
Gdy przy drzwiach jego staję. Taka litość
Czeka mię wszędzie. Inszej dla mnie niema!
Wart jej, kto siebie nie szanował; wart jej,
Kto własną ręką niwę swą pustoszył,
Na której bujnie laury jego rosły.
Żegnam cię, starcze! Znam cię i szanuję,
Choć mi tą samą ręką drzwi wskazujesz,
Która mi wprzódy chętnie, bez badania
Dom ten otwarła. Lecz nie serce twoje

Stąd mię wygania. Pełnisz swą powinność,
Rozkaz starszego rządzi twoją wolą.
Byłem żołnierzem, cenię posłuszeństwo.
Żegnam cię! Jeśli drzewo zeschłe, które
Piorun poraził, zdoła wydać owoc:
Może i w sercu mojem się pokaże
Wdzięczność dla ciebie.

(idzie ku drzwiom i spotyka wchodzącego Szreniawitę)

SCENA IX.

Ciż sami i Szreniawita.

Szren. (poznawszy Bolesława, rzuca mu się do nóg)
Tyżeś to, mój królu?

Mnich. (grzmiącym głosem)
Precz stąd, Judaszu! oddal się, nie całuj!
Precz—jeśli nie chcesz, abyś z tego miejsca
Nigdy nie powstał.

Wszyscy. (okazując znaki przerażenia)
Cóż to jest? O! nieba!

Przeor. (zbliża się ku niemu śmiało)
Przeklęty! Ustąp stąd natychmiast!... Tchnieniem
Piekła powietrza tego nie zarażaj!

(Mnich, zakrywszy twarz, szybko odchodzi)

Stary zak. O zgrozo! zgrozo!

Szren. (powstawszy) Cóż się ze mną stało?
Gdzież on jest?

Przeor. Bracia! Wielka na te mury
Hańba upadła. Ciężkie przewinienie,
Choć mimowolne, wszystkich nas dotknęło.
Ale nadzieja w Bogu i pokucie.

Od tej więc chwili aż do drugiej doby,
Całkiem o ciałach naszych zapomnijmy!
Niechaj modlitwa sen odpędza z powiek,
Niech żal potłumi głód nasz i pragnienie!
Idźmy, padnijmy na twarz, i noc całą
Niech nikt z świątyni Boga nie ustąpi.

(wszyscy wychodzą z Szreniawitą)

Adalb. (sam) Cóż mam uczynić? mamże pójść za
Inszą powinność serce na mnie wkłada. [nimi?
Głos jego silny: silny jak natura!
Bóg mnie nie skarze, jeśli go usłucham.

Akt trzeci.

Noc. Miejsce przed klasztorem, jak w pierwszym akcie.

SCENA I.

Szreniawita, Adalbert wychodzą zwolna z klasztoru; Adalbert niesie w ręku kosz z żywnością.

Adalb. Tędy, rycerzu! Idź ostrożnie! drogę
Mamy nierówną, a na niebie żadnej
Gwiazdy nie widać.

Szren. Czarne i zgęszczone
Chmury od wschodu zakrywają obłok.
Lękam się burzy.

Adalb. Póki na Lobelu
Śniegi bieleją, póty żadna burza
Nas nie dosięga; ale dziś nie widzę

Nic w owej stronie: wszystko mgła zakryła.
Szren. Ostry wiatr ciągnie.
Adalb. Na wskróś mię przejmuje;
Drżę mimowolnie. Wierz mi, ta noc nigdy
Z myśli i serca mego nie ustąpi.
Te jodły, które w cieniach się kołyszą,
Te skały, które ciemność podsunęła
Pod same niebo, nadewszystko czyn mój,
Cokolwiek strachu w serce moje wlewa.
Szren. Bóg chęci sądzi.
Adalb. Jam też na kolanach
W cichej modlitwie z Bogiem się naradzał
I umocniony wstałem. Ale cicho!
Szren. Jakiś świst słyszę.
Adalb. (patrząc ku stronie klasztoru)
To zapewne puszczyk,
Który spoczywać zwykł na owych drzewach,
Ocieniających groby naszych braci.
Tu się wstrzymajmy trochę, może jaka
Gwiazda zabłyśnie i rozjaśni niebo.
Szren. Wieszże z pewnością, gdzie się schronił?
Adalb. Wiem to.
Skoroście wszyscy wyszli do kościoła,
Jam skrycie poszedł i biegł w ślady jego.
Wkrótcem go postrzegł pod ogromnem drzewem,
Pod którem często zwyczaj miał przebywać.
Siedział i płakał. Zdołamże opisać,
Jak mię przejęły łzy tak męskiej duszy?
Zdawało mi się, że się w oczach moich

Rozwarła skała i zdrój z niej wytrysnął.

Szren. O jakże gorżkie być musiały!... Nieba!
Na mnie on płakał, łzy te na mnie spadną.
Przeklęty los mój! Jam go z ostatniego
Schronienia wygnał, jak ów pies, któremu
Ślepy wiatr mówi, gdzie jest jego zdobycz.

Adalb. Długo tam siedział: a powstawszy, szybkim
I silnym krokiem darł się przez gęstwinę,
Zsuwał z uboczy, czepiał po przepaściach.
Ledwiem mógł zdążyć za nim. Wkrótcem poznał,
Dokąd iść zmierzał. Na sąsiedniej górze,
Którą od naszej mały strumień dzieli,
Jest wielka grota. Mówią, że przed wiekiem
Dziwny pustelnik w niej przebywał. Tam on
Z gromadą duchów mieszkał; tam rozmawiał
Ze starem drzewem, które zaraz uschło,
Skoro on zniknął; tam mu jakaś postać,
Codziennie z blizkich skał wynikająca,
Nosiła żywność. Do tej strasznej groty
I dzisiaj jeszcze nikt się zbliżyć nie śmie;
Odkrył ją król twój; w niej i dni i noce
Nieraz przebywał. Do niej wczoraj dążył.
Szedłem tuż za nim i to wiem najpewniej,
Że się w niej ukrył.

Szren. Nieszczęśliwy! W temże
Schronieniu, które piekło polubiło,
Chować się musisz?

Adalb. Wyznać się nie wstydzę,
Że się sam lękam wejść w to straszne miejsce,

I tam z wyklętym mówić...

Szren. Bądź odważnym!
Zasłonią pierś twą dobre chęci twoje.
Mnie to drżeć trzeba na wspomnienie samo,
Że mam wzrok podnieść na to groźne czoło,
Którem troskami zorał; że mi przyjdzie
Usłyszeć głos ten, co w wyrzutach srogich
I sprawiedliwych zagrzmi nad mem uchem.
Wierz mi, młodzieńcze! może tysiąc razy
Śmierć była przy mnie; tylem jej okropnych
Postaci widział; na przerażającym
Progu wieczności sam już nieraz stałem;
Nigdym mniej siły nie czuł. — Ale cóż to?

(błyska i grzmi)

Adalb. Błyska w tej chmurze. Idźmy, korzystajmy
Z tak przyjaznego, choć krótkiego światła.

(znowu błyska)

Jeszcze raz—dobrze—śpieszmy! Przy tym ogniu
Miniem bezpiecznie przepaść Sławoboja;
Dalej wyraźna ścieżka. (błyska i grzmot zdaleka słychać)
Świeć nam niebo!
Graj, groźna chmuro! Błędnym wędrownikom
Wśród cieniów nocy, dobry i błysk gromów.

(wychodzą)

SCENA II.

Grota ciemna i głęboka.

Bolesław. (wchodzi szybko z płonącem drzewem i rozżarza ogień w miejscu, które dawniej za ognisko służyło — po chwili)
Nie gaśnij, droga iskro! Tyś mi cudem
Dana; natura myśli jeszcze o mnie,

I uschłe drzewo gromem swym zapala,
Bym się miał przy czem ogrzać.
(poprawia i rozżarza mocniej) Tu cię karmić
Będę, dopóki czas mię nie zabije.
(odstępuje i patrząc na ogień)
Twoje mi światło porozpędza owe
Postaci mściwe i przerażające,
Które mi w cieniach nocy przed oczami
Stoją i grożąc koło mnie przechodzą.
Dziki to widok, smutne towarzystwo!
(siada na kamieniach)
Tu moja twierdza, stąd mię nikt nie ruszy,
Nikt tu przystąpić nie śmie; bo to miejsce
Obwarowała bojaźliwość ludzka.
Przyjdzie tu wprawdzie gość nieodwołany,
Przyjdzie głód blady. Ręką swą żelazną
Ściśnie wnętrzności moje i mem ciałem
O te kamienie rzuci. I to słusznie!
Tu je za karę dziki wilk rozszarpie,
I kruk kawałki jego poroznosi;
Tu reszty moje, zgniłe, pobutwiałe
I w proch zmienione, wicher porozmiata.
Takbym już dawno skończyć był powinien,
Gdyby natura podłych i zjadliwych
Chwastów pod słońcem swojem nie cierpiała.
Ale to serce, niegdyś tron zepsucia,
Siedlisko chęci podłych, wyuzdanych,
Jeszcze uderza. Ale ten zdradziecki
Wąż, który dzisiaj pełzał przy mych nogach,
Przebywa z ludźmi pełen czci i chwały!

A piorun bije tylko w suche drzewa,
A żaden sztylet piersi naszych nie tknął,
Żadna trucizna trawiącego ognia
Po żyłach naszych nie porozsełała!
Któż poszanuje bóstwo to, naturę,
Gdy tak cierpliwie swe zniewagi znosi?
(po chwili)
Stój! stój, bluźnierco! Oh! natura zna się
Na prawach swoich. Biada, biada temu,
Kto jej majestat tak, jak ja, znieważył!
Surowa w gniewie—najstraszliwszą karę
Dla mnie wybrała—ona żyć mi każe.

SCENA III.

Bolesław, Adalbert.

Bolesław. (słysząc szelest, z niejakiem przerażeniem i silnym głosem)
Któż tam jest?
(Adalbert wchodzi z obawą i w milczeniu staje)
Bolesł. (zdziwiony, po długiej pauzie)
Tyżeś? Tyżeś to, młodzieńcze,
O takiej porze przyszedł aż w to miejsce?
I do mnieś przyszedł?
Adalb. (nieśmiało) Ja... do ciebie, panie!
Bolesł. I pocóż? przebóg!
Adalb. Daruj dobrym chęciom!
Śledziłem kroki twoje i dostrzegłem,
Żeś się tu schronił. Do tej się jaskini
Żaden śmiertelny zbliżyć nie odważy:
Mógłbyś tu zginąć. Oto chleb i woda!
(wskazuje na kosz)

Dary zbyt proste, lecz ludzkiemu ciału
Więcej nie trzeba.

Bolesł. Twój postępek płochy,
Jak wiek twój. Patrzaj! Patrz! Jak cię daleko
Zaprowadziła nieuważna litość!
Mimo zakazu śmiałeś wyjść wśród nocy
Z twojego domu? Nieść mi pomoc, mówić
Zemną, którego ludzie się wyparli,
Który przekleństwo noszę na swej głowie,
Którego słowo i dotknięcie razi
Oddechem piekła. Śmiałżeś młode życie
Poddać pod ostry gniew waszego prawa?
Skoczyć w bezdenną otchłań, w którą lecę,
Byś się sam rozbił, mnie nie pomagając?

Adalb. Wiem, co mię czeka. Licha to jest cnota,
Która się boi kary. Nikt śmiałego
Nie czyni kroku, kto o sobie myśli.

Bol. Słuchaj, młodzieńcze! Któż ci to powiedział,
Że chętnie przyjmę pomoc? Że jej pragnę?
Że pragnę życia? Że śmierć dla mnie straszna?

Adalb. Użyj, jak zechcesz, darów, którem przy-
Dla mnie dość na tem, żem powinność spełnił [niósł.
I zaspokoił duszy mej potrzebę.

Bol. Powinność? Takaż była twa powinność?
Takąż ci starsi twoi przepisali?
Tyś był powinien strzedz się mnie, unikać;
Odwracać oczy, byś mych łez nie widział,
I przed mą skargą uszy swoje zamknąć.
Taka powinność twoja! Tę wykonaj!...

Adalb. Ktorąm wykonał, niebo mi natchnęło.
Tę zaś mi tylko ludzie przepisali.

Bol. Za jej złamanie srogo cię ukarzą.

Adalb. Mogą mnie skarać, lecz mię Bóg osądzi.

Bol. (po chwili przystępuje do niego)
Młodzieńcze! Zacną w tobie duszę widzę,
Śmiałość w twych oczach, a na twojem czole
Odwagę czytam. Gdybyś w szczerej chęci
Do mnie był przyszedł; gdybyś swej przyjaźni
Chciał mi dać dowód; gdybyś umiał wielkie
Łaski wyświadczać, dobrodziejstwa czynić:
Byłbyś uzbroił rękę silnem ostrzem,
I ze łzą w oku w piersi te uderzył.

Adalb Jeszcześ potrzebny na tej ziemi, kiedy
W tej samej chwili, ty sam, panie, możesz
Wykonać dobrą sprawę.

Bol. Nic nie mogę:
Czas mój przeminął, jestem teraz niczem.

Adalb. Zawsze ma porę, kto chce dobrze czynić.
Gdyby tu był kto, co ci krzywdę zrządził
I chciał się do nóg twoich rzucić: Panie!
Czyliż przeminął czas twej wspaniałości?

Bol. Do czegoż zmierzasz?

Adalb. Oto u drzwi twoich
Jest człowiek, który łaski twojej żebrze.

Bol. Jaki?

Adalb. Ty znasz go dobrze, a ja nie śmiem
Nazwać go.

Bol. (powstając) Jakto? może ten, co dzisiaj

Do nóg mych upadł, by mię wydał?

Adalb. Daruj!...

Bol. Chytry młodziku! Tak że mię podchodzisz?
Zdradą jest litość twoja. Nieuważny!
Śmiałżeś tu przywieść zdrajcę, na którego
Wspomnienie samo wściekłość mię ogarnia?
Precz! Precz z nim razem, opuść mię na zawsze!

Adalb. Więcześ się wyrzekł wszystkich uczuć [ludzkich?
Więc cię nie wzrusza żal najszczerszy? Więcże
Nie pragniesz wiedzieć, co się dzieje w kraju,
Któremuś władał? Królu Bolesławie!
Słyszałem, żeś był zawsze niezbłaganym.
Pokonaj upór twój, a może niebo
Wołanie twoje chętniej przyjmie.

Bol. Odejdź!
Taki wróg wzrokiem swym, jak bazyliszek
Zabić mię może.

Adalb. Krzywdę on ci wielką
Zrządził, ze łzami żalu to wyznaje.
Lecz serce twoje kiedyś wielkie było.
Ty tylko jeden możesz go pogodzić
Z niebem i Bogiem. W twoim ręku, panie,
Zbawienie jego. (Głos ponury wychodzący z głębi jaskini:)
I zbawienie twoje.

Bol. (zmięszany) Tyżeś to wyrzekł?

Adalb. Nie ja, panie!

Bol. (oglądając się w głąb groty) Ktoś tu
Trzeci jest z nami. Widzę, że tu za nim

Skała przemawia głosem mi znajomym.
Niechaj więc wnijdzie! Silnych ma obrońców.
(Adalbert odchodzi)
Bol. (sam) I cóż mu powiem? Ty, straszliwy [duchu,
Co mię otaczasz? Teraz milcz; na głos twój
Dusza się moja miękczy, w łzy rozlewa;
I jabym twardym chciał być, jak te głazy.

SCENA IV.

Bolesław, Szreniawita, Adalbert.

Szren. (wchodzi nieśmiało, Bolesław się odwraca)
Przecież znajduję ciebie, panie! Przecież
Pozwalać raczysz, abym ujrzał drogie
Oblicze twoje, w sercu mem wyryte! (milczy)
Lecz ty odwracasz oczy swe odemnie. (milczy)
Skłoń ku mnie wzrok swój, byś mój żal obaczył!
(po chwili)
Ach! jak okropnem jest milczenie twoje!
Bol. Czego chcesz?
Szren. (nagle zbliża się z pokornem nachyleniem)
Królu, panie mój!
Bol. Nie jestem
Ani twym królem, ani twoim panem.
Tyś zacny rycerz, tyś wojownik wielki,
Którego czyny mają cześć u świata.
Ja—czemże jestem? Patrzaj! Wszakże widzisz,
Co mię otacza? Patrzaj! Wszakżeś po to
Przyszedł, byś widział, jak tu nędzny żyję?

Gdzie dwór mój? gdzie mój zamek? gdzie ten na-
Któremu władam? Ściany te nie świecą [ród,
Królewskim zbytkiem; na skłnienie moje
Żaden nie błyśnie oręż; nikt mię rano
Nie wita podłą czynów mych pochwałą;
Nikt tu nie wznieca żądz mych, coraz nowy
Cel im wskazując. Zimno, głód, pogarda:
To dwór mój cały. Ziemia, którą swoją
Stopą zajmuję, całe państwo moje.
Jestemże królem?

Szren. Jakżem nieszczęśliwy!
O! ty nie silniej czujesz stan swój srogi,
Niż ja, com w części stał się jego sprawcą.

Bol. W części? Bezczelny kłamco! W części
Czyjaż mi, przebóg! ręka pokazała [tylko?
Te chytre wdzięki, co mię osidliły?
Czyj ślizki język wmówił we mnie miłość,
Zatlił w mych żyłach pożar krwi gorącej?
Kto na rozpusty przepaścistej drodze
Krok mój postawił? Któż to był? odpowiedz!
Gdybyś był zgoła więcej nie uczynił,
Jużbyś dokonał piekielnego planu.
Już cnota moja prysła w twojem ręku;
Jużeś mi odjął chwałę i odebrał
Największe dobro królów: miłość ludu!
Przestałżeś na tem? Nie, boś dobrze wiedział,
Że chwila, coby rozum mi oddała,
Tobie śmierć niosła. Zręcznieś mi więc zamknął
Powrót do cnoty, chwały i ludzkości.

Krętym manowcem sztuki twej zbłąkany,
Tam iść musiałem, gdzie mię nić twa wiodła.
Byłeś wymownym, gdyś mym żądzom wtórzył,
Lecz rzekłżeś słowo, by mój gniew potłumić?
Wstrzymałżeś rękę, gdy szalonem cięciem
Świętego męża głowę rozbić miała?
Jeśli śmiesz—broń się, daj mi jaki dowód,
Że poniżenie moje w części tylko
Twojem jest dziełem!

Szren. Panie! Przywalony
Wyrzuty twymi, cóż powiedzieć mogą?
Nie mam i słowa na obronę moją.
Jam to niestety! Jam największy zbrodniarz
A tyś ze wszystkich król najnieszczęśliwszy.

Bol. Nie potrzebuję, byś mię uniewinniał.
Nie mam tu żadnych łask do rozdawania,
Nie kłam więc próżno. Nie chcę się udawać
Lepszym niż jestem. Wartem swego losu.
Większym od ciebie zbrodniarz; ale niech ci
Sumienie powie: kto mię nim uczynił?
Natura była mi prawdziwą matką;
Szlachetność, męstwo, rozum, siłę ciała,
Odwagę, prawość, wszystko wlała we mnie.
W cóż się tak piękne dary obróciły?
Kroplą pochlebstwa i zepsucia jadem
Struliście soki tak bujnego drzewa,
Aby zjadliwy owoc wydawało.
Udało wam się, doszliście swych celów,
Niechaj wam piekło wieńcem swem nagrodzi!

Idź! mnie tu zostaw! (po chwili) Ale czekaj jeszcze!
Cóż się w ojczyźnie naszej dzieje?

Szren. Panie!
Nie pytaj o to, dosyć i tak cierpisz.

Bol. Chcę wiedzieć. Powiedz!

Szren. Nazbyt srogie ciosy
Dotknęły kraj nasz. Nierząd i rozpusta
Szarpią wnętrzności jego. Książe ruski
Spustoszył żyzne pola nasze. Węgrzy,
Chytrym podstępem pokonawszy Kraków,
Siedzą w stolicy twojej.

Bol. O! szkaradna,
O niesłychana hańbo! Nikczemnicy!
Gdybym ja władał, któryżby zuchwalec
Śmiał nogą stanąć na mych ojców ziemi?
Wy! orły moje! którem był przyuczył
Na cudzych polach szukać sobie karmi,
Wyż to nie mogłyście obronić sobie
Własnego gniazda? Ale gdzież jest syn mój?

(Szreniawita milczy)

Bol. Dla czegoż milczysz? Powiedz!

Szren. Daruj, panie!
Pozwól zamilczeć!

Bol. Czy nie żyje?

Szren. Lepiej,
O! lepiej gdyby nie żył.

Bol. Powiedz śmiało!
Nigdyś trucizny dla mnie nie żałował.

Szren. Muszę, gdy każesz. Z jego to namowy
Węgrzy panują w kraju naszym.

Bol. Dosyć!
Jużeś mój kielich po sam brzeg napełnił,
Więcej nie przydasz. Oddal się!

Szren. Nie, panie!
Nie na tom błąkał się po tylu krajach,
Bym obarczony wyrzutami twymi
Z niczem stąd odszedł.

Bol. Czegoż chcesz odemnie?

Szren. Królu! Ach nie wiesz może, jak sta-
[nowcza
To dla nas chwila. Nie wiesz, z czyjej woli
Szukam cię, panie, i padając na twarz
Przy nogach twoich przebaczenia żądam.

(pada do nóg jego)

Bol. Dobrze. Lecz oddaj, com przez ciebie stra-
[cił.
Uśpij tu węża, który ciągle czuwa;
Zmyj tę krew, która ręce moje plami;
Wróć mi szacunek świata, niech na nowo
Na czole mojem laury me zakwitną:
I wtenczas proś mię, abym ci przebaczył.

Szren. Bóg sam nie wróci, co już raz minęło.

Bol. Proś zatem Boga, aby ci przebaczył;
Jam tylko człowiek.

Głos. (jak pierwej) Przebacz mu!

Bol. (obracając się ku miejscu, skąd głos wychodził)
Czy znowu?
Ach! uchodź raczej do twojego grobu.
Nie patrzaj na nas, pozwól dwom szatanom
Rozstać się z sobą podług ustaw piekła.

Szren. Panie! na imię Boga, co nas widzi;
Na cień szanowny tego, co nas słyszy,
Błagam, zaklinam, przebacz i zapomnij! (po chwili)
Nieporuszony stoisz? O! dla czegoż
Nie możesz czytać w głębi mego serca?
Czemuż łzy moje, których widzieć nie chcesz,
Próżno padają na nieczuły kamień...?
Nie ma nikogo, coby wsparł me prośby,
Żaden się anioł, żaden duch nie jawi,
Co głębiej widząc, niż śmiertelne oko,
Męczarnie duszy mejby ci opisał.

(Duch pokazuje się i przybliża ku Bolesławowi)

Trwaj więc w twym gniewie, ja tu leżeć będę,
Póki ta skała łez mych nie poczuje.

(pada na twarz przy nogach jego)

Bol. (cofa się i spostrzega ducha)

Ukryj mię, ziemio! Tyżeś to, straszliwy?
Oh! nie przeszywaj mię tak wzrokiem swoim,
Zamknij te oczy, które śmierć zamknęła!

Duch. Przebacz mu!

Bol. (drżącym głosem) Każesz... dobrze... niech tak [będzie...
Wstań, Szreniawito!

(bierze jego rękę i przykłada do piersi)

Wszystko ci przebaczam
Szczerze, jak pragnę, by mi Bóg zapomniał.

Duch. Idź za mną...

Bol. Idę, prowadź mię!

(wychodzą, duch naprzód, Bolesław za nim)

Szren. (patrzy na około z wyrazem przerażenia)

Gdzież jestem?
Co się tu stało?

Adalb. (który przez całą scenę stał z boku w niemem zadziwieniu)
O nic mię nie pytaj!
Włosy mi wstają, krew się w żyłach ścięła.
Szren. Ach! uciekajmy! (porywa go za rękę)
Pójdź, pójdź z tego miejsca.
(odchodzą)

SCENA V.

Kościół, w głębi wielki ołtarz, z boku drzwi, bliżej sceny zakonnicy po obu stronach stoją.

Przeor. O ludzie! nie ufajcie nigdy swej prawo-
Skazitelność udziałem naszym i ślepota; [ści!
Błędem jest nasza prawda, grzechem nasza cnota.
W śmiertelnem sercu nie ma niewinności.
Stary zakonnik (z przeciwnej strony stojący)
Upadek nam po ojcach naszych zostawiony.
Krew, w swem źródle zepsuta, w żyłach naszych
Bóg tylko jeden wiecznie nieskażony, [płynie;
Jasne promienie i blask swojej chwały
Rzuca na świat zadumiały,
Który pod jego okiem przeminie.
Przeor. Wznośmyż ku niemu oczy zroszone,
Niechaj nas światłem swem oświecić raczy.
Bo serce nie przeczuje, rozum nie obaczy
Przepaści, którą ułudzenia ziemi
Kopią pod stopy naszemi.
Stary zak. Niestety! chwila zgonu niedaleka;
Śmierć nas ogarnia swemi skrzydłami.
Niech więc sen z powiek naszych ucieka,

Przed Bogiem naszym na twarz upadajmy.
I dni i noce wołajmy:
Zlituj się, zlituj nad nami!
(Wszyscy przyklękają i nachylają się ku ziemi)
Zlituj się, zlituj nad nami!

SCENA VI.

Ciż sami, Duch i Bolesław (później) **Szren. Adalb.**
(Duch wchodzi bocznemi drzwiami i postępuje ku ołtarzowi)

Bolesław (zatrzymując się na progu)
Gdzie mię prowadzisz? dalej nie postąpię!

Zakon. (porywają się z przestrachem) Ratuj nas Boże!

Przeor. Bracia na kolana!
Szanujcie rękę, która nas przeraża. (Klękają)

Bolesł. Cieniu szanowny! jeśli jesteś duchem
Świętego męża, co padł pod mym ciosem:
Wstrzymaj twe kroki... Ach! ta krew, co dotąd
I z twojej szaty i z mych rąk nie znikła,
Błyskiem piorunu oczy me przeraża.
Nie wstępuj na te stopnie! nie pomnażaj
Katuszy mojej miejsca przypomnieniem.

Duch (wstępuje na stopnie) Zbliż się tu!

Bolesł. (przystępuje do ołtarza)
Jestem... Głos twój wszechmogący. (klęka)

Duch (uroczystym głosem) Jużeś zakończył dni swe
Jakeś przebaczył, tak ci przebaczono. [opłakane!
(Do zakonników) Módlcie się Panu! (Znika)

Przeor (powstawszy) Cud się tu niepojęty i wielki
Zbliżcie się ludy! patrz, ziemio zdumiona! [uczynił;

Swiat go odrzucił, ludzki sąd obwinił!
Bóg dla grzesznika, co swej łaski dożył,
Groby otworzył
I przyzwał do swego łona.

(Szreniawita wchodzi nagle i widząc Bolesława klęczącego przy ołtarzu, staje zdumiony; za nim Adalbert.)

Przeor. Ach! wzbij się duszo! świętem uniesie-
Zalewajcie się, oczy, radosnemi łzami; [niem
Niechaj zabrzmi powietrze słodkiem dziękczynie-
[niem!
Niechaj człowiek w nadziejach swoich nie upada!
Gdy taki król niemi włada,
Gdy Ojciec czuwa nad nami!

(Bolesław upada bez życia twarzą na stopnie ołtarza; Adalbert i Szreniawita przystępują do niego.)

Przeor (zbliża się) Nie przerywajcie: niech się
To jest najdroższy. [modli, moment

Adalb. (wziąwszy jego rękę) Skończył już modlitwę,
Żadne westchnienie z ust tych już nie wyjdzie.

Przeor. I lepiej nie mógł skończyć. Wielki Boże!
Daj mi śmierć taką i w podobnej chwili.

Śląska Szkoła Pedagogiczna Biblioteka Główna w Katowicach
Towarzystwo Filologii Polskiej w Lwowie Biblioteka
ANULOWANO

15,- 72030
26/4/66

Był jeden Mnich

Raz pewnego razu boże
Dziecię z głodu omdlało
Pytano go się co mu się stało
Lecz padło zemdlone
I już więcej nie wstało

7-io klas. Zakład nau.
w Radomiu
MARJI GAJL

wicz, Grażyna. Nr. 156. 10
e, Don Juan, komedya
akt. Nr. 219—220. 20
gorz Fafuła. Komedya
aktach. Nr. 12. 10
a Nibelungów, Przekł.
Germana Nr. 123-128. 60
on, Świat nudów, kom.
akt. Nr. 152—153. 20
Maryla i jej stosunek do
iewicza. Nr. 167. 10
St., Paweł i Wirginia
8—49. 20
ymiec, Urzeczona. No-
Nr. 46—47. 20
artin, Margrabina
bonne. Nr. 293. 10
u, Kaukazki jeniec.
40. 10
ki, Nowele. Marta. Po-
mamie. Terenia. Wilki.
ca. Dolcia. Pelagia. Po-
ek. Nr. 143—145. 30
r, Don Karlos, poemat
nat. Nr. 196—198. 30
speare, Romeo i Julia.
dya. Nr. 8—9. 20
sz Cezar. Nr. 146—147. 20
ki, Książe Niezłomny.
74. 10
a Stuart, dram. Nr. 168. 10
pa. Nr. 295. 10
, Mituś i Matuś. Nowela.
0. 10

Swi

—

Sy

Biblioteka WSP Kielce
0083603

T. V. Nr. 199. T. VII. Nr. 269.
po kop. 10
Walewski A., Teatr i jego
ofiary. Nr. 239. 10
Wergiliusz, Bukuliki. Nr. 63. 10
Wilkoński, Ramoty i ramotki.
T. I. Z portr. autora. Nr. 21.
T. II. Nr. 22. T. III. Nr. 23.
T. IV. Nr. 29. T. V. Nr. 30.
T. VI. Nr. 32. po 10 kop.
Zahajkiewicz, Powinszowania
dla dzieci i młodz. Nr. 1 . 10.
Zipper Dr. A., Mitologia Greków
i Rzymian. — Z 87 rycinami.
Nr. 241—248. 80

Dalsze tomiki w druku.